

Bolesław Prus

SEN



Bolesław Prus

Sen



Fundacja FESTINA LENTE

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student.

Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza, za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Piwnej, na czwartym piętrze, za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęśnięte piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

- Gdybym był Panem Bogiem, inaczej bym świat urządził - mówił niekiedy. - Wynalazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym co

dzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

- Dałbym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z tymi gorączkami, z tym pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przy tym, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... Oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

- Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

- Kto?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... - zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w

której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

- Gospodarz powiedział - mówił stróż - że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie - dodał - żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyci ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił dekarz, że pewnie przysłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

- Ha, jeżeli tak - rzekł - to mogę ustąpić. Ale gdyby się tu sprowadził Bloch albo Kronenberg, pokazał ja bym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania.

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy - co było godnym prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki i że po całodziennym poście warto by coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął, jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny - kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinać w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i

pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem, i sanki, napełnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łańchmanów, i na cały głos poczęła krzyczeć:

- Panie!... panie!... jacy my biedni!...

- Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch!) - pomyślał medyk i, ażeby uniknąć kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

- Niechaj Bóg da ci szczęście!... - zawołała osoba w łańchmanach, która kiedyś musiała być wielką damą. Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyj, zdradzających subtelne uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

- Kompromitująca baba! - myślał. - Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo.

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonek, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwintnym, jak i zakatarzonym głosem:

- Niechaj Bóg da ci szczęście!...

- Szczęście? - myślał, idąc chodnikiem, na którym potracali go przechodnie. - Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałbym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym.

No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się, prawdziwe... Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało...

Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji, nie są prawdziwym szczęściem. Czegóż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc - co to jest szczęście? Przed dwunastoma laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zmarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi

zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznana dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tym, jak go paliły uszy, o tym, że dreszcze zostały gdzieś na dworze - i wydawał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył.

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych przywacj nie oddałby za wieczerek z ponczem i pacanami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczym niepodobna było zastąpić.

- Więc to ma być szczęście?... - myślał. - Zabawna historia!...

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęzmi drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i ówdzie zapalane w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu figlowało kilku psów, a jeden, odznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem, przypatrywał im się z daleka, wykonywając zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzył diabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

- Trzeba przyznać - myślał, czując błogie skutki ćwiczeń - że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kiełbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejsza...

- Bodajże cię!... - wrzasnął ubogi student. Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

- Aj - aj!... aj - aj!... aj - aj!... aj - aj...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu, nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

- Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarznętego wezmą do cyrkułu? - myślał. - Mam przecież bardzo przyzwoite locum: któryś z naszych

musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później był już w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i nawet wsadził mu termometr pod pachę.

- No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? - zapytał, śmiejąc się, nasz przyjaciel. - Cała rzecz w tym, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwne pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną, lepiej. Był zachwycony szpitalnym łóżkiem, co chwilę wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tym: czym właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? — a już około dziesiątej wieczór był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto, gdzie, podług jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymać w łóżku, dopóki po szamotaniach się

nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotymi i srebrzystymi wyspami, które zaludniały dziwne postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

- Oczywiście mam gorączkę - myślał chory - ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?...

Więc patrzył na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują niktne obrazy i opowiadają bajki.

Przede wszystkim uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, ale jeszcze prześwieca i jeszcze sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki

rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjonomii, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową, i albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od diamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko. Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogim i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu

wydawały się powszednimi i wyblakłymi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze i posągowe kształty nużyły jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

- Eh! taki on jak miliony innych, widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiały go i mówił sobie:

- Tego faceta musieli jednak diabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

- Szczególna rzecz - mówił - jak mi to przypomina zdanie: "Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią..." Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł,

hrabianki w bransoletach z diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, które z zazdrością i żalem tłoczyły się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i ówdzie wyłaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego brązu, ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historia śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących, albo leżących, na chodniku, na śniegu, pod

parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem, i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomędzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który, zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne, salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionymi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo

miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

- Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście - mówił student. - Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczętem jest cierpienie, a największym szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestie, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii.

Tym sposobem ja - dodał - mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, co by mi tu psuło humor... W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

- Aj - aj!... aj - aj!... aj - aj!...

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

- Co, u diabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu...) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!...

No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

- Warto by jednak zobaczyć - mówił po namyśle - jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, co wybierał się z wizytą do pewnej miłej pani; śledził bieg myśli trzeciego, co grał w szachy, i czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami. Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi

ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo, czy cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

- Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... - mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. - A może ma realną wartość przestroga: "Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze?..." I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współzjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzieloną częścią naszej duszy?...

Ehe! - zawołał - stare bajki... Muszę mieć tęgorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyby mnie już na zawsze udręczać te czarne nici? — myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć - nigdy!...

- Głupia historia - mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pełzały mu do serca jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestię: "Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?" Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejącej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy. Jeden

olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

- Dzień dobry! - rzekł student - a co to robicie majsterkowie?...

- Ja - odpowiedział ten od miecha - spędzam tu nasiona dusz.

- A ja - dodał drugi - zamykam je w ciała ludzkie. - Fiu! - gwizdnął student. - Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy, jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kielek?

- Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną - mruknął drugi olbrzym - prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

- Trzeci majster powie acanu, jak się to robi - odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posepniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami, i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfunтового młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łądyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łądyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo wiedłami), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec, aż do

środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

- Za pozwoleniem - rzekł do straszydła ubogi student, dotykając palcami czapki - a co to majsterek robi?

- Pomagam rozwijać się duszom - odpowiedział strach.

- Aż granit skwierczy - rzekł student.

- Ale za to, spojrzysz acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po dwadzieścia świetlnych łodyżek, na które stąd i owad dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli zionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy - usychał.

A straszydło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

- Któż pan jesteś, panie majster?... - spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

- Ja jestem Cierpienie - odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. - Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materii...

- Oj!... muszę mieć diabelną gorączkę - myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

- Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszerii. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze nie ma celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrow na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

- Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyślona. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posagu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkimi trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości, należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posagu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków - i ci byli najzuchwalsi.

- Mam lunetę - wołał jeden - tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

- Co tam luneta! - odparł drugi. - Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

- A ja nawet życia nie widzę w naturze - dodał trzeci - choć zrobiłem sztuczny mocz, nieróżniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem...

- Każdy osieł robi to lepiej i taniej - przerwał mu właściciel lunety.

- Ale ja jeszcze w moim dystylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się z wolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

- Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć

najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj - aj!...” - które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

- Cóż mi się tak przypatrujecie? - zapytał.

- To ty mówisz? — zawołał jeden. - No, więc będziesz żył...

- A stałeś już obcasami w grobie - dodał drugi.

- Chyba na tamtym świecie - odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

- Aż na tamtym?... Cóż tam słyszeć?... Jakie wiadomości?... - żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

- Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

Bolesław Prus
Sen

Redakcja: *Hanna Milewska*
Projekt okładki: *STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*
(wg Tadeusz Cieślewski, syn: *Warszawa fantastyczna*)

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-011-7

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl